

KONSTANCJA  
STOLARSKA

# Senza FINE

SENZA FINE #1





KONSTANCJA  
STOLARSKA

Senza  
FINE

SENZA FINE #1

Copyright © for the text by Konstancja Stolarska  
Copyright © for this edition by Wydawnictwo NieZwykłe, Oświęcim 2025  
All rights reserved · Wszystkie prawa zastrzeżone

Redakcja: Anna Łakuta  
Korekta: Katarzyna Twarduś, Monika Baran, Martyna Góralewska  
Skład i łamanie: Paulina Romanek  
Oprawa graficzna książki: Weronika Szulecka

Druk i oprawa: Abedik S.A.

ISBN 978-83-8418-046-4 · Wydawnictwo NieZwykłe · Oświęcim 2025  
Grupa Wydawnicza Dariusz Marszałek



🌐 [www.wydawnictwoniezwykle.pl](http://www.wydawnictwoniezwykle.pl)  
✉ [niezwykle@wydawnictwoniezwykle.pl](mailto:niezwykle@wydawnictwoniezwykle.pl)  
📘 Wydawnictwo NieZwykłe  
📷 [wydawnictwoniezwykle](https://www.instagram.com/wydawnictwoniezwykle)  
✂ Wyd\_NieZwykłe  
🎵 [wydawnictwoniezwykle](https://www.youtube.com/wydawnictwoniezwykle)

# PROLOG

## ARIADNA

*Palermo, 2016 rok*

– Boli. – Ostatkami sił próbowałam wyrwać zaciśniętą w pięść dłoń, ale byłam zbyt słaba.

Znowu. Znowu nie dałam rady uciec i nie liczyłam już na to, że kiedykolwiek się uda.

– Im bardziej się wiercisz, tym bardziej boli – powiedział spokojnym głosem tak, jakby nic wielkiego się nie działo. Tak, jakby to była zupełnie normalna sytuacja. – Ariadna, musisz ponieść konsekwencje swoich czynów. Wpajam ci to od dziecka, czego nie rozumiesz?

Chciałam coś odpowiedzieć, a wiązanka słów już cisnęła mi się na język, gdyby nie ten przeklęty ból w prawej dłoni. Zresztą, co takiego miałam mu wygłosić? „Tato, to nie jest normalne, że w ramach kary przypalasz córce rękę laserem”? On i tak by nie zrozumiał. Tylko Lawrence rozumiał, ale jego tutaj nie było,

a nawet gdyby był, to nie mógłby zrobić absolutnie nic. Dla ojca był tylko zwykłym kucharzem, którego zawsze można zwolnić. Szkoda, że mnie nie mógł.

– Przepraszam – załkałam i zacisnęłam zęby. Nie miałam odwagi spojrzeć na skórę dłoni. Wiedziałam, że znów jest zmasakrowana i kolejne dni będę zwijać się z bólu, na który nie pomoże żadna maść. – Przepraszam za to, że cię okłamałam.

– I?

– Już nigdy więcej tego nie zrobię – wydusiłam na jednym tchu, a ojciec wyłączył laser i schował go do kieszeni marynarki, jak długopis.

Kiedys nawet próbowałam mu go zabrać, by nie przechodzić więcej tych tortur, ale nie wpadłam na to, że wymyśli coś nowego. Oblewał wtedy moje nogi wrzątkiem. Po tym przez kilka dni nie mogłam chodzić.

– Czego nie zrobisz? – drażył.

Poczułam na sobie spojrzenia trzech ochroniarzy i miałam ochotę zawyć najgłośniejszym, jak tylko się dało. Dlaczego nigdy nie stanęli w mojej obronie? Bez emocji przyglądali się cierpieniom dziecka, więc co takiego wywoływałoby u nich współczucie? Czy było w ogóle coś takiego?

– Aria – pospieszył mnie ojciec, a ja wybudziłam się z transu.

– Nie okłamię cię.

– Już nigdy więcej nie chcę cię widzieć z tym chłopakiem. Zrozumiano?

Bez słowa przytaknęłam, a on puścił moją rękę i kiwnął głową do jednego z mężczyzn, by odprowadził mnie do pokoju.

Poparzona dłoń za to, że zamiast z koleżanką spotkałam się z chłopakiem poznanym w sieci. Poparzona dłoń. Tyle warte było niewinne kłamstewko szesnastolatki.

Szłam przez korytarz, nie zwracając uwagi na ochroniarzy, a wzrok skupiałam na ogromnych obrazach zdobiących ściany rodem jak z pałacu. Przedstawiały mnie i rodziców z różnych

okresów życia. Na każdym byliśmy uśmiechnięci, chociaż ja ani razu nie uniosłam kącików ust podczas pozowania przed włoskim artystą. Domalowywał ten uśmiech na prośbę głowy rodziny; jemu nie można było odmówić. Jeżeli ktokolwiek odmówi Valerio Pastoriniemu, skończy z głową nabitą na pal. Chyba że ten ktoś jest jego córką, wtedy zostanie potraktowany jedynie laserem, wrzucą wodą lub wygrawerowaną zapalniczką.

Żyłam w stolicy Sycylii pod dachem miliardera, o którym nie wiedziałam praktycznie nic oprócz tego, że jest moim tatą i ewidentnie zajmuje się czymś nielegalnym. Mama chyba trochę mnie kochała, ale nie sprzeciwiłaby się mężowi.

Powracając myślami do tamtych nastoletnich lat, odczuwam niebywały smutek. Jako szesnastoletnia dziewczynka byłam pewna, że gorzej już nigdy nie będzie, że jestem w najmroczniejszym punkcie życia, na samym dnie, i jedyne, co mi pozostało, to próbować przetrwać.

O nie. Mogło być gorzej. Teraz to wiem.

# I

*27 września 2020 roku*

Rzeczywistość, choć bywała niesamowicie brutalna, czasem potrafiła też sprzyjać i mimo wielkiej kłótni z ojcem zwieńczonej dwoma nowymi bliznami na dłoni, byłam mu całkiem wdzięczna za ten pomysł. Za to, że kazał mi wziąć ślub z nieznajomym dwudziestodwulatkiem tylko po to, by pomóc sobie w szemranych interesach. Odkąd pamiętam, wciskał mi i matce kit, że prowadzi świetnie prosperującą firmę transportową. Przewozi meble i płyty, czerpiąc z tego tak ogromne zyski, że stać nas było na mieszkanie w pałacu z setką służby, niczym rodzina królewska. W część z transportem dało się uwierzyć, ale doskonale wiedziałam, że omija spory fragment tej historii, nie chcąc nas wciągnąć w swój syf. Może i ta niewiedza była lepsza od realiów.

– Nie przynieś mi wstydu, Ari – zagrmiał jak zwykle naburmuszony ojciec, wchodząc do mojego pokoju, gdy skrupulatnie wkładałam podręczniki od chemii do kartonowych pudełek. – To twój mąż.



– No co ty – szepnęłam z ironią pod nosem, by mnie nie usłyszał.

Krew mnie zalała, gdy tylko przypomniałam sobie jego rozmowę sprzed dwóch dni z moim, pożał się Boże, mężulkiem. To na niego miał zamiar przepisać po śmierci część majątku i firmę. Nie na mnie ani nawet na matkę. Na przygłupiego zięcia śliniącego się do mnie jak mysz do kawałka sera. Jak sam to ujął: „Ariadna jest mądrą dziewczynką, ale nie zna tego świata. Będę jej przesyłał pieniądze, ale dopóki jesteście małżeństwem, to ty sprawujesz pieczę nad finansami. Jesteś głową rodziny i kiedyś przejmiesz interes. Mam nadzieję, że mnie nie zawiedziesz, synu” i inne takie bzdety, których słuchałam z zacisniętymi szczękami.

– Na pewno chcesz iść na te studia? – zapytał, opierając się o framugę drzwi, i odpalił pokaźne cygaro.

– Będziemy mieszkać blisko uniwersytetu, a marzyłam o tym od zawsze. Chociaż tego mi nie zakazuj. – Westchnęłam niemalże błagalnie, zerkając na niego kątem oka.

– Nie zakazuję, ale się nie wychylaj. Twoje nazwisko może wzbudzać niepotrzebne zainteresowanie.

Zainteresowanie? Raczej strach. Na Sycylii nazwisko Pastorini, a zwłaszcza gdy przed nim stało imię „Valerio”, można było używać zamiennie ze „spierdalać stąd w podskokach”. Wystarczyło jedno słowo, jedna wzmianka o tatusiu, a ludzie wpatrywali się we mnie jak w ducha i ulatniali najdalej, jak się dało.

– Przecież wiesz, że będę gadać tylko z Eleną – wspomniałam o swojej najlepszej, i jak na razie jedynej, przyjaciółce.

Znałyśmy się praktycznie od kołyski. Nasi ojcowie ze sobą współpracowali, więc nie mogła bać się świata, do którego sama poniekąd należała. No, może jej rodzina była mniej popaprana niż moja, aczkolwiek też brała czynny udział w działalnościach podchodzących pod jakieś mafijne zapędy, których ja nie rozumiałam... albo nie chciałam zrozumieć.

Przyglądałam się krótką chwilę jego ciemnym oczom i dostrzegłam w nich coś w rodzaju smutku. Tak, chyba to był smutek

wymieszany z nadchodzącą tęsknotą. Bądź co bądź mieszkałam pod tym dachem ponad dwadzieścia lat i znosiłam wszystkie kary, przytyki i niekonwencjonalne metody wychowawcze ojca. Żyjąc w przeogromnym pałacu, wartym miliardy euro, czułam się od zawsze jak ptak zamknięty w klatce. Złotej, prawda, ale dalej klatce, a teraz miałam z niej uciec. Wyfrunąć, zacząć nowe życie w kolejnej klatce. Tym razem nieco swobodniejszej, z jakąś namiastką samodzielności, której byłam spragniona bardziej niż ryba wody.

– Dzwoni czasem do mamy. Nie może znieść myśli, że cię tutaj nie będzie. I przyjeżdżaj, kiedy tylko zechcesz. To wciąż twój dom, Ariadna.

*Dom.* Słowo obijało się po mojej głowie niczym mantra. To coś było domem?

– Okej.

Już niecałą godzinę później z pomocą lokajów wcisnęłam ostatnie pudła do bagażnika czarnego, matowego jeepa. Poprawiłam grzywkę, która jak zwykle żyła swoim życiem po bokach twarzy, podobnie jak kasztanowe, długie włosy z potencjałem na loki. Może gdybym przez połowę życia nie katowała ich prostownicą, nie musiałabym się z nimi aż tak męczyć.

– Czyli moja słodka Arusia naprawdę wyjeżdża? – Z rozmyślań wyrwał mnie głos uroczego, siwiejącego mężczyzny w fartuchu.

Uśmiechnęłam się od ucha do ucha i podbiegłam bliżej, by wtulić się w jego tors.

– Lawrence... – powiedziałam niezadowolona. – Za tobą będę tęsknić najbardziej.

– Chyba za moją kuchnię – odparł, po czym zaciągnął się papierosem i poklepał mnie po plecach. – Dbaj o siebie, kwiatuszk. Może nawet się zakochasz. Ten cały Marco nie wydaje się taki zły.

– Nie ma szans – wypaliłam bez najmniejszego przemyślenia. – Nie kręć mnie.

Jak miałabym zakochać się w kimś, kto był tylko pionkiem w grze mojego ojca i kto uważa mnie za pewnik? A raczej uważał, bo jasno dałam mu do zrozumienia, że poza kumpelstwem nie ma na co liczyć, i nie wynikało to tylko z mojej dumy czy chęci sprzeciwienia się ojcu przynajmniej w ten sposób. Po prostu nie pociągał mnie ani wyglądem, ani intelektem i gdyby nie jego rodzice chcący dopiąć interesu z tatą, nigdy bym za niego nie wyszła.

– A noc poślubna? Aż tak źle było? – zapytał, wrzucając spalonego już papierosa do gustownej, ceramicznej popielniczki na niewielkim stoliku na tarasie.

– Spędziłam ją z Eleną, chlejąc wino, a on nie wiem, co robił. – Roześmiałam się, przypominając sobie szok malujący się na twarzy Marco, gdy oznajmiłam, że o nocnych igraszkach może tylko pomarzyć. – Zbyt mocno mu zależy na aprobachie ojca, więc nie odezwie się ani słowem, co jak najbardziej mi odpowiada. On będzie robił swoje, ja swoje, i każdy zadowolony.

Kucharz przyglądał mi się w skupieniu, jakby nie do końca pewien, czy rzeczywiście tak sędzę, a jego lekkość w odczytywaniu emocji jak zwykle okazała się nieomylna.

Boże, co ja plotłam? Jak mogliśmy być zadowoleni, skoro utknęłam w zaaranżowanym małżeństwie, które brzydziło mnie na samą myśl. Jak to w ogóle brzmiało? Dwudziestolatka, dopiero co rozpoczynająca studia i po raz pierwszy mająca mieszkać poza domem rodzinnym, od trzech dni ma męża, który jest dla niej praktycznie obcy. Obrzydlistwo.

– Wiem, że kiedyś znajdziesz miłość, Aria. Taką, na jaką zasługujesz. Czuję to. – Przyciągnął mnie do siebie ponownie, a z moich ust mimowolnie wydostało się prychnięcie.

Miłość to ostatni przywilej, na jaki czekałam w tym ponurym życiu. Wizja posiadania kogoś, kto kocha mnie bezwarunkowo i robi wszystko, by mnie uszczęśliwić, wydawała się tak samo nierealna jak to, że mój ojciec nie ma nic wspólnego

z najpotężniejszą sycylijską mafią. Nigdy nie chciałam miłości. Ja pragnęłam być wolna i jeszcze nie wiedziałam, jak to zrobić, ale zamierzałam wydostać się spod tego przekłętego klosza i grubą kreską oddzielić od siebie Valerio Pastoriniego.

– Wystarczy mi miłość do ciebie. Kocham cię, Lawrence. Obiecuję, że będę wpadać tak często, jak to tylko możliwe. – Odsunęłam się od niego, walcząc ze sobą, by nie wybuchnąć głośnym płaczem, i stanęłam przy samochodzie, machając mężczyźnie na pożegnanie.

– A z mamą gadałaś?

– Pogadam, ale nie dziś – rzuciłam szybko i zanim zdążył coś jeszcze dodać, pospiesznie wsiadłam do pojazdu i skierowałam się w stronę metalowej bramy, która otwierała się poprzez rozpoznanie twarzy.

Ile ja musiałam nabłagać się ojca, by w systemie pojawiła się również moja facjata. Ile płaczu, obrażeń i ran zniosłam, by nie musieć wszędzie wychodzić w asyście ochroniarza, niczym osobistość pokroju prezydenta.

No to w drogę. Do nowego domu. Do domu, który może nie będzie kojarzył mi się tylko z bólem, cierpieniem i potokiem łez. Do domu, w którym może zaznam upragnionego spokoju.

*Ale tylko może.*

Po półgodzinnej, nieco za szybkiej jeździe dotarłam na plac przed śnieżnobiałą willą. Budynek nie wyglądał jak ten, w którym dorastałam. Był nowoczesny, prosty, a zarazem elegancki i dostojny. Nie tak jak pałac postawiony przez mojego ojca – z ogromnym dworkiem z niezliczoną liczbą fontann i jakichś bliżej niezidentyfikowanych posągów.

Wjechałam na parking, już nie mogąc się doczekać, aż razem z Eleną kompletnie pijane wskoczmy do ogromnego basenu, korzystając z nieobecności mojego męża. Ach, jaki świat wydawał się piękny, gdy nie czułam na plecach zimnego oddechu Valerio Pastoriniego.

Zatrzymałam jeepa i zmarszczyłam brwi, dostrzegając wychodzących z posiadłości lokajów i kilka nadprogramowych samochodów na podjeździe. W tym jedno czarne lamborghini. Nie mogło należeć do kogoś z obsługi, a Marco jeździł przecież mercedesem. Ciekawe, do kogo należało, a przede wszystkim, jakie kompleksy ten ktoś leczył sobie tym niewygodnym szrotem, który poza ceną nie powalał niczym.

– Dzień dobry, pani Ariadno – odezwał się jeden z mężczyzn ubrany w schludny komplet czarnych garniturowych spodni i kamizelki, pod którą lśniła biała koszula. – Proszę wejść do środka, my wszystko przeniesiemy. – Podbiegł do mnie, gdy zabrałam się za wyciąganie tony toreb i walizek z bagażnika.

– Jak masz na imię?

– Ernest – wydukał nieśmiało, a ja wyciągnęłam rękę i uściśnęłam żwawo jego dłoń.

– A wy? – zwróciłam się do pozostałej trójki i przewróciłam oczami, rozpoznając te ich wystraszone miny. Przecież nie gryzę. To mój ojciec gryzie, a właściwie pożera. Ja nim na szczęście nie jestem.

– Tobiasz.

– Max.

– Miguel.

– Ja jestem Ariadna, możecie mi mówić Ari albo jak tam chcecie. Miło mi was poznać – powiedziałam po przywitaniu się z każdym z osobna i nieco mi ulżyło, gdy zauważyłam, że już się trochę uspokoili. – Teraz muszę przenieść to wszystko na moje piętro. – Ponownie chwyciłam za dwie torby i powędrowałam w kierunku drzwi, stukając czarnymi sandałkami na obcasie o marmurowe schody.

Nie było mowy o jednej sypialni, nie wspominając już o wspólnej łazience, toteż wymusiłam na moim mężu równy podział, który ku jego niechęci ustaliliśmy dzień przed ślubem, zaraz po

wybraniu domu. Jego ojciec zajmował się między innymi nieruchomościami, i to takimi z najwyższej półki, dlatego mogłam przerzucać w ofertach i wybrać budynek, który najbardziej mi odpowiadał. Poza dogodnościami takimi jak dwa piętra z niemalże tym samym wyposażeniem, ta willa znajdowała się najbliżej uniwersytetu. Na tym zależało mi najbardziej.

Postawiłam kilka kroków w drodze do schodów, gdy dobiegły mnie głosy z salonu. Już miałam je zignorować i niepostrzeżenie wejść na górę, lecz Marco wyczuł moją obecność.

– Ariadna? Przyjechałaś już?! – krzyknął, a ja niechętnie weszłam do pomieszczenia i odłożyłam torby na podłogę.

– Hej – odezwałam się dosyć cicho i dostrzegłam kilka nieznamomych osób zajmujących skórzaną kanapę.

To jego koledzy? Dziwne. Nie było ich na ślubie, a przynajmniej ja ich nie dostrzegłam.

– Pięknie wyglądasz. – Mężczyzna o krótkich, ciemnych włosach ściętych na jeża podszedł bliżej z zamiarem pocałowania mnie w policzek, jednak w porę się odsunęłam i uniosłam brew. Przecież inaczej to sobie ustaliliśmy. – Trochę się podpiłem – dodał mąż, uśmiechając się niezręcznie.

Dwóch obcych mi facetów bacznie przyglądało się tej sytuacji. Były też dwie dziewczyny w krótkich, obcisłych sukienkach, a jedna z nich siedziała na kolanach mężczyzny o brązowych, roztrzepanych włosach. Ciekawe.

– Mogłeś powiedzieć, że robisz imprezę, to przyjechałabym jutro – rzuciłam, patrząc na Marco z góry. Byliśmy tego samego wzrostu, jednak buty na obcasach sprawiły, że nagle z metra siedemdziesięciu pięciu urosłam o co najmniej osiem centymetrów.

– Nonsens. Możesz posiedzieć z nami – odpowiedział z uśmiechem, którego ja nie miałam najmniejszej ochoty odwzajemniać. – Chłopaki, to Ariadna, moja żona.

– To dziewczynom już mnie nie przedstawisz? – zapytałam lekceważąco.

Nieznajome były co prawda zajęte skakaniem dookoła umięśnionego chłopaka w ciemnym, opinającym ciało T-shircie. Facet dokładnie w tej samej sekundzie skrzyżował ze mną wzrok. Ciemnozielone oczyska lustrowały mnie od góry do dołu.

Miałam słabość do butelkowej zieleni. Niestety.

– Antonio. – Obok mnie pojawił się platynowy blondyn wyższy o głowę. – Miło w końcu cię poznać, Aria. Marco nam dużo o tobie opowiadał.

*Nie wątpię.*

Marco Lorenzin wydawał się jakiś taki nieswój. Jakby moja obecność w salonie nie była mu na rękę, mimo iż sam zaproponował, bym została.

– Nie pojawiliście się na ślubie, prawda? – zapytałam, ściskając dłoń blondyna.

– Niestety sprawy biznesowe nas zatrzymały – przyznał z przerysowanym smutkiem i ostentacyjnie uniósł rękę. – Ale podobno cała Sycylia o tym mówiła, więc pewnie jesteś zadowolona, co?

– Powiedzmy. – Wysiliłam się na sztuczny uśmiech, wciąż stojąc jak ten słup soli w obecności mojego męża i Antonio, podczas gdy ten, którego tożsamości jeszcze nie poznałam, nadal siedział na kanapie, mając na obu ramionach zawieszzone dziewczyny. – Idę się rozpakować – oznajmiłam i sięgnęłam po torby odstawione wcześniej na podłogę, a z jednej z nich wypadła książka.

– Chemia organiczna? – zapytał Antonio i podał mi kilkusetstronicową pozycję do rąk.

– Za kilka dni zaczynam studia.

– Niech zgadnę, na prywatnej uczelni? – Niski, delikatnie zachrypnięty głos nieznajomego siedzącego na kanapie dotarł do moich uszu, a kpina, która od niego biła, doprowadziła mnie do furii. Co to był za komentarz?

Marco niemalże podskoczył na te słowa, co nie umknęło mojej uwadze. On się go bał?

– Słaby jesteś w zgadywanki – wytknęłam, nawet na niego nie spoglądając. – Na publicznej.

– To podaj masę molową fentanylu – rozkazał zupełnie poważnie, jakby był moim nauczycielem i wielce uczonym chemikiem, a ja głupiutką dziewczyną, której wiedzę trzeba było systematycznie sprawdzać.

Ciekawe, że pierwsze, co przyszło mu do głowy, to pytanie o narkotyk. Najbardziej szkodliwy i niebezpieczny narkotyk świata, którego śmiertelna dawka wynosiła zaledwie dwa miligramy.

– Finnian, daj jej spokój. – Antonio głośno westchnął, zerkając na mężczyznę prosząco, ale też z jakąś nutą obawy w głosie.

*Finnian.*

– Ja tylko zadałem pytanie. Jak nie wie, to przecież się douczy – odpowiedział, nadal nie szczędząc sobie sarkazmu.

Nie miałam pojęcia, kim jest ten buc i dlaczego siedział sobie w moim domu, okraszony towarzystwem jakichś kretynek, ale coraz mniej podobała mi się jego obecność w tym miejscu. Nie wiedział, kim jest mój ojciec?

– Ari, lepiej już idź. – Marco położył dłoń na moim ramieniu, a ja odruchowo ją z niego strąciłam.

Z torbami w rękach podeszłam bliżej tego całego Finniana, starając się nie patrzeć na to, jak blondynka właśnie podgryza mu lewe ucho, na którym znajdował się minimalistyczny kolczyk w postaci kółeczka z zawieszonym na nim krzyżykiem.

– Zaproponowałbym ci dołączenie, ale chyba nie wypada, skoro od trzech dni jesteś mężatką. – Uśmiechnął się lekko, a dwa symetryczne dołeczki odznaczyły się w gładkich, oliwkowych policzkach.

Chyba wiedziałam już, kto jest właścicielem lamborghini.

– Trzysta trzydzieści sześć koma czterysta siedemdziesiąt jeden gramów na mol – wyrecytowałam. – Masa molowa fentanylu. Masz jeszcze jakieś pytanie czy to ci wystarczy?



Niemale zaskoczenie wymalowało się na jego głupekowatej twarzy, gdy bez zająknięcia podałam prawidłową odpowiedź. No tak, bo najpewniej z góry założył, że jestem tylko pustą córką bogacza, której iloraz inteligencji nie przewyższa planktonu.

– W takim razie idę do siebie – dodałam po odczekaniu chwili i odwróciłam się na pięcie.

– Czekaj, Ari, pomogę ci. – Marco złapał mnie za rękę, wskazując na cholernie ciężkie torby, a ja, choć miałam wrażenie, że zaraz zwymiotuję od ciężaru książek, segregatorów i zeszytów, dumnie pokręciłam głową.

– Poradzę sobie.

## FINNIAN

Dźwięk obcasów rozbrzmiewał po schodach, a długie roztrzepane włosy podskakiwały z każdym krokiem dziewczyny. Chwycałem za szklankę whisky i powoli upiłem łyk, mrużąc oczy. Nie takiej Ariadny Pastorini się spodziewałem. Nie po tym, co napowiadał mi ten skończony idiota Lorenzin.

– Musiałeś? – Antonio zajął miejsce obok mnie, a ja odepchnąłem od siebie dwie dziewczyny, których imiona wyleciały mi z głowy już dobre dwie godziny temu.

– Idźcie na basen – nakazałem, co posłusznie wykonali, chichrając się do siebie, gdy tylko wchodziłem z nimi w najmniejszą interakcję. – No co? – burknąłem, zerkając kątem oka na przyjaciela. – Nie zachowuj się, jakbyś znał mnie od tygodnia.

– To jego żona. – Wskazał na Marco, który zajął miejsce na fotelu stojącym naprzeciwko szklanego stołu. – I wiadomo czyja córka. On nie może wiedzieć, że Lorenzin dla ciebie pracuje.

– I się nie dowie, prawda? – Spojrzałem na wystraszonego chłopaczka wyglądającego, jakby zaraz miał się rozplakać.

Co ta dziewczyna w nim widziała? Wpływowa i bogata rodzina, rozumiem, ale on sam w sobie nie miał nic, co czyniłoby go

wartym uwagi, nawet najmniejszej. Dlaczego zgodziła się go poślubić? A może została zmuszona? To by mi pasowało najbardziej.

– Nie dowie się.

– Myślisz, że ona coś wie o jego interesach? – zapytałem, po czym upiłem kolejny łyk alkoholu.

– Nic. Kompletnie nic. Sam mi to powiedział i kazał przysiąc, że będę to przed nią ukrywał. Dlatego może lepiej będzie, jeśli więcej tu nie przyjdziecie – powiedział trzęsącym się głosem, a ja po raz kolejny w duchu zwyzywałem sam siebie, że podjąłem się współpracy z nim.

Niestety idiota miał coś, co od dłuższego czasu mnie interesowało. Zawarł sojusz z najbardziej nienawidzoną mi osobą na całej ziemi i chyba byłbym głupszy od niego, gdybym nie wykorzystał faktu, że je mi z ręki i jest gotowy spełnić każde moje polecenie.

– Nie przyjdziemy.

*Nie gwarantuję.*

Choć nie ukrywam – ponowne starcie z rozwścieczoną jak osa przyszłą studentką chemii wydawało się kuszącą wizją. Zwłaszcza po tym, co Marco opowiedział nam na temat ich nocy poślubnej, nie szczędząc sobie najmniejszych szczegółów. Teraz, gdy pierwszy raz zobaczyłem ją na żywo, znacznie łatwiej było to sobie zobrazować, jednak nie wydawała się tak zakochana, jak to opisywał. Sugerował, że nie może się od niej opędzić, bo ciągle lata za nim jak wierny pies, a dzisiejsze spotkanie nieco odbiegało od tych przekonań.

Ciekawe, co powie wyszczekana chemiczka, gdy się dowie, że jej mąż pomaga nam zniszczyć i doszczętnie zrujnować karierę największego skurwiela, jakiego znam. Jej ukochanego tatusia.

Dziesięć minut później w korytarzu rozniósł się donośny śmiech wraz z ponownym tupaniem obcasami.

– Ernest, naprawdę mnie nie denerwuj. To moje rzeczy, nie będziecie ich targać sami.

– Ale, pani Ariadno, my naprawdę to przynie...

– Żadna „pani”. Ile ty masz lat, co? – Jej słodki głosik brzmiał teraz inaczej niż wtedy, gdy mówiła do męża. Był ciepły, uroczy i przypominający niemalże głos dziecka.

– Dwadzieścia dwa – odparł, czekając na nią przy schodach, podczas gdy schodziła nieco wolniej ze względu na wysokie obcasy.

– No to jesteś ode mnie dwa lata starszy i zakazuję ci mówić do mnie „pani”.

Wyszła w asyście lokaja przed dom. Uśmiechnąłem się pod nosem, wyciągając z kieszeni spodni paczkę fajek. Nie mogłbym sobie darować nieucięcia z nią pogawędki. Gdyby Valerio zobaczył mnie w jej towarzystwie, zapewne zrównałby niebo z ziemią, a dziewczyna nie miałaby o niczym pojęcia. Troskliwy ojczulek skutecznie odgrodził ją od tej części świata, w której sam był okrutną bestią dręczącą niewinnych ludzi i pozbywającą się każdego, kto stawał mu na drodze. Chyba był to jeden z wielu błędów, które popełnił w naszej toczącej się od jakiegoś czasu partyjce. Powinien ją uprzedzić, z kim sam ma na pieńku i na kogo powinna uważać.

– Idę zapalić. – Włożyłem fajkę do ust i wyszedłem z pomieszczenia, nie proponując chłopakom, by mi towarzyszyli.

Stałem na tarasie, bacznie przyglądając się dziewczynie siłującej się z wielkim mikroskopem, gdy próbowała wyciągnąć go z bagażnika jeepa. Swoją drogą, ładne auto, ale nie dla niej. Jej to by pasowała rakietą, bo sprawiała wrażenie mocno wystrzelonej.

– Matko – sapnęła zmachana, podnosząc ogromny sprzęt, a stojący przy niej lokaj nerwowo zacisnął szczęki, gdy tylko mnie dostrzegł. – Co? Wyglądasz, jakbyś ducha zobaczył. – W końcu ona również zwróciła uroczą twarz w moją stronę, na co zaciągnąłem się papierosem, nie odrywając od niej oczu. – Zaniesiesz mi to? Ja sobie zapalę. – Podała mężczyźnie mikroskop, a ten

ochoczo przytaknął, zapewne chcąc ulotnić się z mojego towarzystwa najdalej, jak tylko się dało.

– Tatuś wie, że palisz? – zagailem rozmowę, kiedy w jej smukłych, długich palcach zagościł cienki papieros.

## ARIADNA

Irytował mnie. Miał w sobie jakąś taką niekończącą się pewność siebie, która bardziej przypominała zwykłe chamstwo. Nie musiał nawet nic mówić, samo jego spojrzenie napawało mnie złością, a znaliśmy się raptem pół godziny.

– Nie – odburknęłam, zaciągając się używką. – Dlaczego ludzie się ciebie boją? – zapytałam po chwili, nie potrafiąc trzymać języka za zębami, i mimowolnie stanęłam bliżej niego, gdyż promienie zachodzącego słońca raziły moje oczy, a chłopak stał pod dachem.

– Ich pytaj – odpowiedział niby od niechcenia, jednak coś podpowiadało mi, że czerpie niebywałą satysfakcję z faktu, iż z własnej woli zadałam mu jakieś pytanie. – Może też powinnaś się bać, chemiczko.

*Już pędzę schować się szczelnie pod kołdrą i obgryzać paznokcie w strachu przed skretyniałym, przerośniętym burakiem, któremu bez wątpienia zdaje się, że jest królem tego świata.*

Na tym świecie istniała tylko jedna osoba, której się obawiałam i która była w stanie zedrzeć mi sen z powiek. Mój ojciec.

– Boję się tylko tego, że tak wysoki facet z własnej woli jeździ tym mikrusem. – Parsknęłam śmiechem, wskazując na niski pojazd błyszczący w promieniach słońca.

Gdy stałam bliżej Finniana, jeszcze dobitniej uderzyła mnie nasza różnica wzrostu. Mimo że byłam w szpilkach, on wydawał się spokojnie z dwadzieścia centymetrów wyższy.

– Nie gustujesz w dobrych samochodach? – Zgasił papierosa o podeszwę buta i wyrzucił go przed siebie. *Ohyda*. – W mężczyznach chyba też – dodał już nieco ciszej, a w mojej głowie zapaliła się lampka.

Kim on był dla Marco i dlaczego obrażał go w mojej obecności, mimo iż kilka minut wcześniej jak gdyby nigdy nic wspólnie spędzali czas, popijając zapewne cholernie drogi alkohol?

– Nie gustuję w tandecie.

– Lamborghini to tandeta?

– Oczywiście, że tak. Drogie, niewygodne, z częściami, których wymiana jest praktycznie niemożliwa. Zabawka dla snobów chcących zabłyszczyć, bo niczym innym nie mogą. – Zerknęłam na niego wymownie i ten gest był chyba lekką przesadą z mojej strony, bo chłopak automatycznie spowaźniał.

– Tak ci się wydaje? – wychrypiał i chwycił mnie za dłoń. Już miał powiedzieć coś jeszcze, ale dostrzegł na niej calutką rodzinę kę blizn pozostawionych przez mojego ojca.

Momentalnie wyrwałam się z uścisku, schowałam rękę za plecami i przygryzłam wewnętrzną część policzka.

– Chyba już wiem, dlaczego jesteś taka wredna – stwierdził z wyczuwalną wyższością w głosie po minucie konsternacji.

*No, proszę, powiedz, do jakiego wniosku doszedłeś, ptasi mózdzku. Że się poraniłam, bo tatuś nie chciał kupić mi torebki z najnowszej kolekcji jakiegoś włoskiego projektanta? Śmiało. Mów.*

– Dlaczego?

– Bo od dziecka byłaś obdarowywana prezentami, pochwałam i słowami uznania z ust każdego, kto tylko na ciebie spojrzał. Dostawałaś nowe buciki, sukieneczki, a gdy tupnęłaś nóżką, tatuś przyprowadzał ci kucyka – rozpoczął swój monolog, zupełnie ignorując fakt, że nie miał absolutnie najmniejszego pojęcia, jak wyglądała rzeczywistość. Snuł tylko podejrzenia, które oczywiście były błędne. – Zgaduję, że ten ślub to pierwsza rzecz w życiu, która nie poszła po twojej myśli, i dlatego tak wściekle się

buntujesz, okaleczasz i nawet nie nosisz obrączki. – Zlustrował serdeczny palec mojej lewej dłoni, na którym rzeczywiście brakowało pierścionka. – Nie jest tak?

– Nic o mnie nie wiesz – wysyczałam, buchając mu dymem prosto w twarz. Niewiele myśląc, podeszłam do jego samochodu i zgasiłam papierosa na masce. – I jeżeli jeszcze raz zobaczę cię w tym domu, obiecuję, że już nigdy nie wsiądziesz do tego auta. Nie o własnych siłach.

– Jak już grozisz, taka wściekła i obrażona na cały świat, to chociaż patrz na mnie, a nie na ziemię jak spłoszony piesek. – Zaśmiał się, zupełnie nic sobie nie robiąc z mojego napadu agresji.

– Wybacz. – Z trudem wymusiłam delikatny uśmiech i tym razem spojrzałam w jego zielone oczy. – Patrzyłam na ziemię, bo szukałam twojego poziomu.

Odeszłam, trącając go ramieniem, a zaraz po tym ostentacyjnie trzasnęłam drzwiami i wbiegłam na górę prosto do swojej sypialni.

Stereotypy, błędne założenia i przypisywanie ludziom łatek – znałam to nie od dzisiaj.

Jak pustym trzeba być człowiekiem, by nie znając prawdy, dopuszczać się do snucia tak bezlitosnych teorii, i to jeszcze z uśmiechem na ustach?

Tamtego wieczoru, tamtego feralnego dnia, gdy po raz pierwszy od dwudziestu lat miałam poczuć subtelny przedsmak wolności po ucieczce od ojca, nie wiedziałam jeszcze, z kim rozmawiałam i komu zgasiłam papierosa na masce samochodu wartego co najmniej dziesięć milionów euro.

Znałam tylko jego imię. *Finnian*.

I wystarczyło mi kilkadziesiąt minut, by znienawidzić tę postać do szpiku kości. Do samego cna.